

Po upadku powstania Warszawskiego

Wspomnienia płk. poż. w st. spocz. Józefa Zajączkiewicza:

...,Kapitulacja Żoliborza — idziemy do niewoli. Na punkcie zbornym na ul. Powązkowskiej, selekcja na tych, którzy walczyli i tych którzy walczyć nie mogli. Nas w kolumnie otoczonej Wehrmachtem prowadzą Powązkowską, mijamy cmentarz, skręcamy w Okopową. Po obu stronach czerwone mury, w pewnym momencie kolumna zostaje zatrzymana, przed nami karabin maszynowy z obsługą, skierowany we wnękę w murze, po drugiej stronie ulicy. Na murze pełno świeżych odprysków po uderzeniach pocisków. Stoimy i myślimy „co oni będą robić”, jaka ma być reakcja. Prowadzący naszą kolumnę rozmawia z dowódcą obsługi karabinu maszynowego. Trwa to kilkanaście długich minut. Przyjeżdża w końcu motocykl z przyczepą, wysiada oficer, wydaje polecenie dowódcy naszej grupy. Ten podaje komendę — marsz! — jednak darowali życie. Prowadzą nas do kościoła na Woli — patrzymy jak strasznie Warszawa jest zniszczona. Po noclegu w kościele, rano wiozą nas samochodami do Pruszkowa — Warszawa w gruzach wyludniona.

Po minięciu granicy miasta — zaskoczenie — całe domy, w oknach firanki, ludzie normalnie mieszkają. Grupki ludzi patrzą na nas, coś krzyczą, rzucają do samochodów owinięte w biały papier kule — to gotowane przekrojone kartofle, wewnątrz wędlina. Jesteśmy bardzo głodni, jemy, mimo że w gardle coś ścisza.

Po krótkim pobycie w Pruszkowie, ładują nas do wagonów towarowych, zamykają — jedziemy na zachód. Pociąg zatrzymuje się w Skierniewicach, przez przechodzącego kolejarza dajemy znać do straży, że wiozą nas, że jesteśmy głodni. Po pewnym czasie zjawia się nasz kolega porucznik, obecnie pułkownik Nowicki, który po przekupieniu pilnujących Niemców dostarcza do naszego wagonu dużo chleba i kiełbasy — jemy my, jedzą inni — taka to wtedy była rodzina pożarnicza.

Transport nasz został skierowany do stalagu XI A Alten-Grabow, koło Magdeburga. Przyjechaliśmy wczesnym i bardzo mglistym rankiem. W obozie jenieckim my, „bandyci z Warszawy” zostaliśmy odizolowani od reszty jeńców i umieszczeni za jeszcze jednymi drutami w starych, wielkich stajniach.

Pożarników było nas pięciu: nie żyjący już płk poż. inż. **Kowalski Franciszek**, obecnie pułkownik, a wtedy ppor. **Kowalski Edmund**, ppor. **Łoziński Marian**, por. **Markowicz Jan** i ja, wtedy w stopniu porucznika. Zabrano nam nasze ubrania, a dano stare w okropnym stanie mundury różnych armii, z wymalowanymi na plecach, białą olejną farbą, wielkimi literami „KG” — „Kriegsgefangenen”. Otrzymaliśmy metalowe znaki tożsamości z wybitym numerem jenieckim, na moim znaku był numer 45166. Spaliśmy na gołych drewnianych

pryzkach — chodziło o uchronienie nas od insektów. W odczuciach swoich mieliśmy pełną świadomość, że nie ma Warszawy, nie ma naszych domów. Nie wiedzieliśmy też, co uczyniono i gdzie się znajdują nasi najbliżsi.

A był to do tego okres głodu, gdyż jako „nowi” dostawaliśmy tylko to, co było dzienną głodową racją jeńca wojennego. Dwóch Kowalskich i ja stanowiliśmy bardzo spójną grupę, znaną nie tylko w naszej, ale i w sąsiednich stajniach. Wspomnianą grupą był koleżeński triumwirat o wdzięcznej nazwie „KOZAK” (Franciszek Kowalski, Józef Zajączkiewicz, Edmund Kowalski). Związek ten cieszył się niezwykłym, jak na owe warunki, zaufaniem. Obóz doszedł do wniosku, że jedyną wysoce zorganizowaną grupą są pożarnicy i po wielu nieudanych, poprzednich próbach, im powierzył codzienny rozdział żywności. Trójka oficerów wzorowo wywiązywała się z nałożonego obowiązku i nikt więcej nie kwestionował sposobu rozdzielania obiadu. „KOZAK” podejmował także działania opiekuńcze skierowane na mniej zaradnych kolegów (drobne naprawy, reperacja obuwia, wykonanie kolosalnych w warunkach obozowych udogodnień tj. kuchenki polowej oraz garnka).

...W pełnej świadomości, że Święta Bożego Narodzenia będziemy spędzać w niewoli, zaczęliśmy się do nich przygotowywać — zorganizowany chór ćwiczył kolędy, ze skąpych racji żywnościowych odkładaliśmy na święta, co było można. Nadeszły — niezapomniane. Ja byłem w chórze — po ukazaniu się pierwszej gwiazdy chodziliśmy po stajniach śpiewając „Tryumfy Króla Niebieskiego”, życząc wszystkim spokojnych Świąt. Potem już na naszej przycy wilia — duża miska kaszy mannej ugotowanej na mleku z puszki z rodzynkami — było jej tyle, że mogliśmy się najeść, były też papierosy — w ten wieczór można było zapalić całego. A potem każdy zatopił się w swoich myślach, które biegły do najbliższych, pokonując ciemność i przestrzeń. W obozie naszym był Konstanty Ildefons Gałczyński, właśnie w grudniu 44 roku powstał jego znany wiersz „Matka Boska Stalagów”. Zaraz po świętach oświadczono nam, że nie uznają naszych stopni oficerskich i że musimy pracować. Ja znalazłem się w grupie (na szczęście z płk. inż. Kowalskim i ppor. Łozińskim), którą wysłano do miasta Burgu koło Magdeburga. Musieliśmy się rozstać z Edmundem Kowalskim, którego na skutek odniesionych ran w Powstaniu zakwalifikowano do lekkiej pracy. W Burgu umieszczono nas w znajdującym się poza miastem budynku otoczonym wysokim płotem z kolczastego drutu. Pilnowało nas trzech uzbrojonych wachmantów. Rano zaprowadzono nas do fabryki, gdzie oświadczono nam, że będziemy pracowali na tokarniach,